

NIECH ŻYJE JAJCARSTWO!

Zanim przyjechali z przedstawieniami na Warszawskie Spotkania Teatralne, budzili ciekawość. Po przyznaniu Monice Strzępce i Pawłowi Demirskiemu Paszportu „Polityki” przetoczyła się przez prasę cała fala ich wiadomości. Oto młodzi odważni, jak Bonnie i Clyde, wściekli i wywrotowi wobec warszawskich salonów i kanap opiniotwórczych. Pracują głównie w Wałbrzychu, mieście biedaszybów i strukturalnego, jak się ładnie mówi, bezrobocia, wcześniej w Gdańsku, ostatnio we Wrocławiu. Z przekonania, skoro na spartańsko-teatralne warunki życia skazują kilkuletniego synka, a warszawskie mieszkanie świeci pustkami.

Za dyrekcji Macieja Nowaka w Gdańsku w 2003 roku Demirski, kierownik literacki Teatru Wybrzeże, stał się współtwórcą Szybkiego Teatru Miejskiego, gdzie dziennikarstwo dokumentalne sprzyjać miało działaniu społecznemu. Starano się jednoczyć widzów i aktorów w jednej przestrzeni, wnikać w tkankę miejską, by aktorzy, amatorzy i widzowie mogli podjąć najbardziej aktualne tematy, jak bezdomność, sytuacja kobiet ze Wschodu sprzedających ciała przy szosach, kobiet, których mężczyźni walczyli w Iraku, i kobiet skazanych na aborcyjne podziemie, słowem – problemy słabszych lub wykluczonych. Paweł Demirski sformułował w Gdańsku swój lewicowy światopogląd (opublikował trzy tomy z ponad dwudziestoma tekstami dla sceny), stał się komentatorem życia politycznego i społecznego (pisze dla portalu Krytyki Politycznej, jest członkiem zespołu), działaczem społecznym.

Monika Strzępka, absolwentka warszawskiej reżyserii, debiutowała w 2004 roku w Bydgoszczy, zrealizowała kilkanaście spektakli w Jeleniej Górze, Gdańsku, Czeskim Cie-

szynie, Opolu, od kilku lat współtworzy Teatr im. Szaniawskiego w Wałbrzychu. Wraz z mężem robią teatr specyficznie autorski; rozmawiają, dyskutują, on pisze, ona reżyseruje. On daje się czasem porwać Michałowi Zadzarcze (zrealizowali w Gdańsku *Wałęsę* i *From Poland with love*, w Krakowie *Ifigenię*), od kilku lat głównie stawia na żonę, równie zaangażowaną w podważanie obiegowych prawd i bezkompromisową jak on. Mają po trzydzieści kilka lat, dojrzewali zatem w nowej, wolnej Polsce i wobec jej instytucji kierują swój sprzeciw. Drażni ich teatr przeżarty komercją, mieszczański, artystowski, realia ekonomiczno-polityczne wykluczające z godnego życia całe grupy społeczne, a także opisywanie rzeczywistości wygodnymi komunałami lub zakłamanymi dyskursami. Chcą robić teatr artystyczny, co dla nich znaczy: eksperymentujący, prowokacyjny, niewygodny. I nie na końcu – zdolny zmienić świat; w każdym razie takie pytanie zadawali twórcy dokumentalnego filmu o teatrze z Wałbrzycha przed Teatrem Studio, w tym duchu pisali zaprzyjaźnieni dziennikarze, jakby również wierzyli, że to możliwe.

Nic dziwnego, że na spektakle z Wałbrzycha wielu widzów czekało jak na objawienie. Oprócz bowiem *Niech żyje wojna* oraz *Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej* autorstwa Demirskiego i Strzępki pokazano inne przedstawienia z cyklu *Znamy, znamy* budującego ostatnie sezony tej sceny: *Dynastie* w reżyserii Natalii Korczakowskiej, *James Bond: świnię nie widzą gwiazd* przygotowany przez Wiktorę Rubina i *Olga Tokarczuk z Wałbrzycha* przygotowany przez Bartosza Frąckowiaka (część pierwsza *Gniew*) i Łukasza Chotkowskiego, autora instalacji *Prowadź nas przez kości umarłych*. Pomysł rozmowy z wałbrzyską

widownią na kanwie lektur szkolnych (*Zemsta*, *Łysek z pokładu Idy*, w najbliższych planach *W pustyni i w puszczy*, *Winnetou*, *Ania z Zielonego Wzgórza*) oraz telewizyjnych seriali (*Dynastia*, *James Bond*, *Cztery pancerni i pies*, *Gwiazda śmierci*), wymyślony przez dyrektora placówki, Sebastiana Majewskiego, na razie się sprawdza, to znaczy zespół został zauważony, ściągają do Wałbrzycha młodzi reżyserzy i aktorzy. Jest ruch, coś się dzieje, a więc nagrody, wyróżnienia, ukoronowane występem na Spotkaniach. Jeśli jednak w Wałbrzychu odwołanie się do wspólnoty szkolnych lektur i telewizyjnych seriali się sprawdza (?), to w Warszawie niekoniecznie. Tu jest większa grupa ludzi, którzy obywają się bez telewizji, a zakres swoich lektur zdołali znacznie poszerzyć, więc przywiezione przedstawienia mogą zdumiewać swoim przesłaniem. Chyba trudno tu znaleźć widzów, którzy przyciągnęli załogi czołgu Rudy i psa traktowaliby na tyle poważnie, by się przeciw nim buntować. Wiadomo, że to bajka z dużym ładunkiem propagandowym, i nikt przytomny nie traktuje tego serialu nawet jako bryku z historii. Autorzy widowiska jednak strasznie się napinają, by pokazać, jakie to zło z niego płynie. Już w pierwszej scenie premier Mikołajczyk, prowadzący w Moskwie rozmowy ze Stalinem, występuje na golasa (bo tanio?). Znaczenie owej nagości to czysta tautologia, bo rzeczywiście Mikołajczyk wrócił z niczym, nie miał argumentów, by przekonać tyrana, ale czy owego braku sił i środków politycznych nie dałoby się pokazać subtelniej, tylko tak siekierą przez łeb? W tym przedstawieniu chyba nie, ponieważ na tle obskurnych odrapanych ścian i byle jakich mebli wszyscy są byle jacy. Głównym środkiem wyrazu pozostają dzikie przekleństwa i papierosy zapalane, odpalane, dopalane w każdej sekwencji w ustach prawie wszystkich bohaterów. Także jedzenie, żute, plute, trawione wraz z dymem papierosów w sekwencjach dławienia się, rzygania, zapychania gęby itd. Protest przeciw wielokrotnej emisji serialu, który ponoć zatruwa głowy rodaków, pokazany jest jako obławianie kolejnymi wiadrami lepkiej cieczy aktorki grającej Marusię. Stąd zdumiewają-

cy wydaje się końcowy żal bohaterów – trzymany na muszce przez psa Szarika (aktor od początku poszczekuje), by oddali cześć poległym – że już takiej wojny nie będzie i takiego serialu też. W ostatnich minutach spektaklu słychać wyraźne rozczarowanie pokoleń, które się nie załapało na bohaterstwo ani na rewolucję, walkę z komuną czy inne ważne przeżycia.

Dzisiejsi średniomłodzi, wściekli i zbuntowani, wykrzykują swoje kompleksy głośno i dobitnie. Jan Klata w *Uśmiechu grejfruta* postawił przed Watykanem ekipy telewizyjne oczekujące na zejście „naszego” papieża. Demirski, nie gorszy, swój najnowszy dramat rozgrywa na pogrzebie Andrzeja Wajdy, architekta masowej wyobraźni. Uczestnicy uroczystości dławią się nieświeżym paszтетem, kolega Kazio liże buty nowemu idolowi ekonomii. (Jeśli to miał być Kutz, to strzał niecelny, akurat on potrafi być osobny, nieprzekupny i nikomu się nie podlizuje). Przedstawiciele elit, w tym ulubiona aktorka reżysera, wracają do zacisznych domów i nadal, bez końca przymilają się sobie i władzy.

Miał to być bezprecedensowy atak na elity, które porzuciły społeczeństwo i odcinają kupony od niedysiejszych zasług, a okazał się zplekiem kabaretowych numerów średnio zabawnych, jak choćby wyśmiewanie cytowanych opinii krytyków, znane z kolejnych *Opisów obyczajów* Mikołaja Grabowskiego. Więcej w tym teatrze politycznym epitetów niż konkretów, wyglupu niż analizy rzeczywistości poddawanej atakom. Nie wystarczy obśmiać pojęcie szkoły chicagowskiej, służącej wzorem do budowy kapitalizmu na gruzach komuny. Warto się owemu programowi przyjrzeć bliżej, a jest czemu, bo skutki decyzji podjętych kilkanaście lat temu będą jeszcze długo się objawiać. Warto może było przywołać osoby, które się tym światłym rozwiązaniem przeciwstawiały, próbowały uchronić choćby kulturę przed powierzeniem jej losów niewidzialnej ręce wolnego rynku itd., itp. Wtedy mogliby widzowie śledzić sensowny proces myślenia, dyskurs, a nie tylko jajcarski wyglup. Szkoda, akurat nie lewicowość czy radykalizm tandemu małżeńsko-artystyczne-

go mnie drażni, uważam, że krytyka jest zbyt ogólna i efekciarska, za mało poważna. Najbardziej drażni mnie język teatralny niezwykle prymitywny, knajacki wręcz, pozbawiony subtelniejszej ironii, szyderstwa opartego na poważnym myśleniu oraz kukielkowo wyłupiane aktorstwo, które nuży, zamiast działać tak, by śmiech uwierał w gardle z przerażenia. W sumie szkoda, przez chwilę zaufałam klakierom i liczyłam na prawdziwy bunt młodych, na ich ostrość, radykalizm, celność, a zobaczyłam kilkanaście nudnawych skeczy, którym daleko do stworzenia koherentnego przekazu artystycznego. Szkoda, bo jest w Polsce wiele do przemyślenia i wiele do zdziałania, zwłaszcza gdy się ma lewicową perspektywę, jakiej nie potrafią domyśleć i zwerbaliżować młodzi polityczni przywódcy lewicy. Tu wychodzi na to, że Andrzeja Wajdę jest za co cenić i szanować, zwłaszcza że nawet najgorsze dzieło Wajdy jest artystycznie lepsze niż wysiłkowy protest twórców z Wałbrzycha. Widząc wyraźną nieudolność artystyczną, można się zastanawiać, czy protest pokolenia nie jest aby wyspekulowany.

Podobnie nie przekonały mnie kolejne spektakle z tego teatru. Ani dekonstrukcja *Dynastii*, której nigdy nie śledziłam, więc było mi wszystko jedno, czy rozgrywki finansowo-miłosne Carringtonów twórcy ubarwiają wątkiem *Filokleta* Sofoklesa, czy nie. Nagle każą mi się zastanawiać nad losem spadkobiercy fortuny, geja umierającego na AIDS, który tenże proces sam filmuje, jakby był postacią rzeczywistą, a nie bohaterem mydlanej opery. Podobnie nie zachwyił mnie los Jamesa Bonda na tle kilkunastu wschodnich dywanów, gdyż w tym „teatroodcinku” działa wśród Arabów, a w końcowej scenie jest kobietą. Całość wykonana zgodnie z kanonem aktorstwa bezpruderyjnego. Wygląda ono tak: pod dywanem James Bond się onanizuje, a stojąca nieopodal w rozkroku aktorka, ściągając z siebie kolejną parę stringów krzyczy: – Pierdol mnie! Różnij mnie! Może to kogoś bawi, mnie cierpły członek od oglądania owego myślowo-estetycznego pawia.

Najbardziej autentyczną wypowiedzią wydał mi się spektakl *Olga Tokarczuk z Wał-*

brzycha, choć szlachetna miłość do zwierząt kazała twórcom zapomnieć o miłości do ludzi. Postawiono znak równości między zwierzęciem a człowiekiem, za każde zabite zwierze ginie człowiek. Dla mnie nazbyt radykalne. Druga część spektaklu, czyli instalacja poświęcona ciału, jego starzeniu się, cierpieniom, rozkładowi, też nie wstrząsnęła mną do głębi, nie rozumiałam, dlaczego z polcia prawdziwej (chyba końskiej, bo duża) wątroby, aktor, krojąc ją, wydobywa sznur pereł, bo to, że autor instalacji skrępował sznurami aktorów, żeby pokazać ich cierpiące ciała, pojęłam.

Podobnie jajcarskim ścięciem została zrobiona *Trylogia* przez Jana Klatę w Starym Teatrze już dwa lata temu, ale przyjechała na Spotkania dopiero teraz. Horyzont wypełnia wnętrze kościoła z portretem Matki Boskiej nad tabernakulum. Zamiast ławek dla wiernych – łóżka szpitalne albo te w noclegowni dla bezdomnych, słowem, skrzyżowanie wiary, wariactwa i bezbronności w pełnej krasie. Kalectwo duchowe i fizyczne bohaterów Sienkiewicza manifestuje się a to skrępowaniem Skrzetuskiego (Jerzy Grałek) pasem ortopedycznym, że ruszać się może jak paralytyk, a to umyślowym porażeniem Azji Tuchajbejowicza, który (wzorem kilku postaci u Lupy) zaczyna mówić po hebrajsku; scena staje się niezrozumiała, za to śmieszna. I o to chodzi, żeby widownia rżała z zachwytu nad pokracznością bohaterów narodowej epopei. Wołodajowski, czyli mikrej postury, siwiuteńki Andrzej Kozak, nic nie musi grać, by ośmieszać postać wystarczy, że wejdzie starczym kroczkiem, zamacha niewidzialną szablą i już będzie wesoło. Jeśli jako Başkę, Hajduczka, narzeczoną Małego Rycerza reżyser obsadzi obfitych kształtów Annę Dymną, nic tylko boki zrywać. Zagłoba? Spryčiuła taki, że wszystkich upije, interesa zamaszycie załatwi po swojej myśli i cwańszy się okaże nad innych cwaniaków. Kmicic Krzysztofa Globisza też szablą wywija, w bohaterstwie nikomu nie ustępuje, kobietę zapładnia, czym daje przykład innym, więc po chwili wszyscy patrzą, jak potomkowie rosną w brzuchach wybranek.

Całość zrobiona została aktorskimi numerami, a to łóżka postawią sztorcem, by za wał obronny służyły, a to bitwę pod Częstochową rozegrają z użyciem poduszek, a to Ewa Kolaszińska gardłowo-basowym głosem zza portretu Najświętszej Panienci przemówi do rodaków, a to Jan Peszek jako Radziwiłł peruką zakryty paktować zacznie z wrogami. I tak jajcarsko opowiedziana *Trylogia* toczy się nudno-przewidywalnym duktem przez cztery godziny, gdy nagle gaśnie światło. Akorzy grają wiele patriotyczne wzruszenie, boć ojczyzna w potrzebie i zawieść jej nie można. Po ciemku słyhać, jak Azję na pal wbijają, mającą postacie zabijane katyńskim strzałem w tył głowy, niektóre włączają do kanałów jak w powstaniu warszawskim i tym samym kroją mit założycielski niepokonanego bohaterstwa. Choćby było ono ufundowane na totalnej głupocie i szaleństwie, braku rozsądku i wszystkich irracjonalnych przyczynach, jakie oglądaliśmy.

Coś się takiego porobiło, że bardzo trudno znaleźć poważne przedstawienie, albo jest to dyskurs o płci kulturowej tak napuszony, że człowiek odpada, albo kabaret, gdzie jaja jak berety i tylko boki zrywać. Przykładem postać Gustlika z *Niech żyje wojna...* Gra go kobieta w mundurze amerykańskiej armii, umazana na czarno (Murzyn, czarnuch, wyrzutek świata), zaciąga po śląsku i górniczemu (mniejszość etniczna i ofiara prywatyzacji kopalń), nosi przeciwsłoneczne okulary (odpoczywa na plaży?). Szkoda, że na jednej nodze nie nosi kabaretek i czerwonej podwiązki, a w rękę książeczki do nabożeństwa (byłoby i do tańca, i do różańca). Mamy więc pięć lub więcej w jednym, a sensu – tyci, tyci.

Przeżyłam już kilka tak zwanych objawień, które miały uzdrowić nasz teatr, od pięćdziesięciu lat pogrążony ponoć w kryzysie. Za mojej pamięci byli to młodzi zdolni z rocznika Izabelli Cywińskiej, Jerzego Grzegorzewskiego, Macieja Prusa, Helmuta Kajzara, cały zespół teatru w Kaliszu i Poznaniu budowany przez Cywińską – kobietę dyrektora, chwilę później mignął teatr z Grudziądzka Krzysztofa Rościszewskiego, że o teatrze studenckim, offowym i różnych mutacjach idei Grotowskiego obelkanych w zbiorowe ciała twórcze nie wspomnę. Pamiętam odkrycie laserowego teatru Janusza Wiśniewskiego, następnie teatru Andrzeja Dziuka w Zakopanem, jeszcze później najszybszy teatr w mieście, czyli Piotr Cieplak w Rozmaitościach, bodaj po sezonie przekazany Grzegorzowi Jarzynie i Krzysztofowi Warlikowskiemu, czyli młodszemu zdolniejszemu. Dziś to podobno Nowy Teatr, którego praktycznie nie ma, więc bierzemy Wałbrzych, bo ponoć tam najżywiej bije puls naszego teatru. Już z tej wyliczanki mój lansowanych przez krytyków widać, jaką teatr jest konkurencją trudną i długodystansową. Dla jego przetrwania nie wystarczą najpiękniejsze fajerwerki pomysłów, zaangażowanie ani społeczne, ani polityczne, szlachetne idee i jeszcze słuszniejsze poglądy. Tu trzeba poza talentem, talentem, talentem jeszcze wielu lat cierpliwej pracy, zespołu skrzykniętego nie po to, by szybko zrobić karierę, lecz wokół wartości. Nie widać na to wiele szans. Poza jajcarstwem rzecz jasna, które od morza do Tatr zalewa naszą bohaterską, między żywiołem rosyjskim a niemieckim uciśnioną, niewinną ojczyznę.

Elżbieta Baniewicz